Wojenne wspomnienia lekarza wojskowego.

Por. lek. Jan Chomiczewski w 1938 roku

Jan Andrzej Chomiczewski
Pułkownik, lekarz Ludowego Wojska Polskiego.
Komendant szpitala jenieckiego
w kościele św. Piotra i Pawła w Żychlinie.

Jan Andrzej Chomiczewski (ur.1909, zm.1992 w Łodzi) – pułkownik lekarz Ludowego Wojska Polskiego.
W 1938 mianowano go lekarzem 18 pułku piechoty w Skierniewicach.
Brał udział w kampanii wrześniowej. 19 września 1939 w Puszczy Kampinoskiej dostał się do niewoli. Był komendantem szpitala jenieckiego, który został zorganizowany w żychlińskim kościele. Jesienią 1939 przeniesiony do obozu przejściowego w Łodzi, z którego został zwolniony i powrócił do Warszawy. Od lipca 1940 w ZWZ AK pod pseudonimem „Pobożański". Był lekarzem Kedywu Komendy Głównej AK. Awansował do stopnia kapitana lekarza. W 1945 został zmobilizowany. Pracował w Kielcach jako chirurg, specjalista niebezpiecznych chorób zakaźnych i bakteriologicznych.
W 1962 powołano go do służby wojskowej i awansowano do stopnia pułkownika. W latach 1964–1971 był dziekanem - komendantem Wydziału Lekarskiego WAM. W 1968 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego.
W 1973 został przeniesiony w stan spoczynku. Zmarł w Łodzi 5 marca 1992.

„Bitwa pod Kutnem dobiegała końca. Plutony naszej kompanii działały pojedynczo. Łączność przerwała się zupełnie. Zostaliśmy sami z por. Leśniewiczem ciągnąc za sobą kilkanaście wozów z rannymi. Było wśród nich tylko kilka naszych, reszta to zagubione wozy innych jednostek, które przyłączyły się do nas. Ciągle ktoś się dopytywał o taki czy inny pułk.

Nie umieliśmy dać żadnej odpowiedzi, nie wiedząc nawet gdzie się znajduje reszta plutonów naszej kompanii.

17 września stało się jasne, że sytuacja, przynajmniej na naszym odcinku jest beznadziejna. Wyjaśniono nam, że droga do Sochaczewa została odcięta. Ruch grup wojska odbywał się tam i z powrotem, następnie zamienił się w bezładną wędrówkę w różnych kierunkach. Ze wszystkich stron słychać było coraz wyraźniej silny ogień niemiecki. Ktoś zawołał: „nasi!”, ktoś inny: „nie! To Niemcy!”. Szwadron zbliżył się do nas. Widać było wyraźnie obcy nam kształt hełmów i mundury „feldgrau”. Dowodzący nim oficer trzymanym w ręku pistoletem wskazał nam kierunek, w którym mamy podążać. Wozy z rannymi kazał zostawić na miejscu. Ruszyliśmy z por. Leśniewiczem i grupką sanitariuszy włączając się do rosnącej ciągle kolumny, zdążającej w kierunku Kiernozi.

Luszyn droga do pałacu 1939 r. (Pacyna - Ocalić od zapomnienia).

Fakt, że sama procedura utraty wolności odbyła się bez sakramentalnego podnoszenia rąk do góry stanowił niewielką tylko pociechę. Jesteśmy jeńcami. Z dezaprobatą patrzymy na niektórych żołnierzy z naszej kolumny, którzy przybrali od razu typowy „jeniecki” wygląd: płaszcze porozpinane, bez pasów, czapki wciągnięte na uszy. Idącego boso ku uciesze fotografujących go Niemców – bezskutecznie usiłujemy namówić, by włożył niesione w ręku buty. Nasi sanitariusze trzymają się godnie.

Koniec Bitwy nad Bzurą.

Broni osobistej nie oddaliśmy Niemcom. Przed kontrolą udało się dyskretnie zsunąć z pasów kabury i wrzucić do rowu. Doszliśmy do Kiernozi. Przed plebanią stanowiącą siedzibę dowództwa stoi grupa oficerów niemieckich czyniąc przegląd kolumny. Dostrzegli nas. „Offizieren" – informuje któryś z nich najstarszego, następnie pyta nas po polsku: „z którego pułku?". „Z żadnego" – odpowiadamy przekornie. Chwila zdziwienia. Teraz dostrzegł opaski czerwonego krzyża. „Lekarze?" – „Lekarze". „Proszę tutaj". Siedzimy z por. Leśniewiczem na ławce w ogrodzie plebanii. Mimo strasznego wyczerpania brakiem snu, wysiłkami i głodem – przeżycia ostatnie mobilizują nas jakoś wewnętrznie. Jesteśmy spokojni i zawzięci. Wkrótce rozdzielono nas; por. Leśniewicz pozostał na miejscu, mnie zaprowadzono do stojącego przed plebanią samochodu, w którym siedział już rosły i tęgi niemłody porucznik w garnizonowym mundurze i rogatywce z wiśniowym otokiem. Ostentacyjnie przedstawiam się mu z całym wojskowym „fasonem", ignorując obecność siedzącego obok kierowcy oberleutnanta z opaską żandarmerii polowej. Zajmuję miejsce w samochodzie, obok siada eskortujący nas żołnierz niemiecki.

Kolumna jeńców w Żychlinie. Wrzesień 1939 r.

Samochód rusza. Oberleutnant studiuje mapę i rozmawia z kierowcą. Kilkakrotnie pada słowo "Cychlin", "Dobrcelin". Następnie usiłuje nawiązać rozmowę; częstuje cygarami. Samochód zatrzymał się przed budynkiem cukrowni w Dobrzelinie, gdzie tworzono właśnie obóz jeniecki. Spotkaliśmy tam sporą grupkę lekarzy z armii „Poznań". Z naszej kompanii sanitarnej nie było więcej nikogo. W sali, w której nas umieszczono, zobaczyliśmy rzeczy dawno niewidziane i nieomal że wykreślone z pamięci: łóżka. Potworne zmęczenie, przezwyciężane tak długo stanem napięcia nerwów, zaczęło nagle brać górę nad wszystkimi innymi uczuciami, budząc jedno pragnienie: spać. Po paru dniach przewieziono grupę lekarzy do Żychlina, gdzie tworzył się ośrodek szpitali jenieckich. Trafiłem do szpitala umieszczonego w budynku szkoły. Pracy mieliśmy dużo, mimo licznej stosunkowo obsady lekarskiej.

Wobec masy rannych dotychczasowa baza szpitalna okazała sic niewystarczająca: filię naszego szpitala zorganizowano w kościele ("Abteilung Kirche"). **Zostałem jego komendantem**.
Ranni leżeli pokotem na prowizorycznych barłogach sporządzonych ze słomy i dywanów kościelnych. „Sala opatrunkowa i równocześnie nasza „sypialnia" – w bocznej nawie. Na chórze, pod organami, rezydowali dwaj ranni oficerowie, wśród nich ppor. Roman Paszkowski.

Z ramienia Wehrmachtu władzę nad nami sprawował rezerwista, „assistenz-arzt" dr Meyerling, podobno rentgenolog z Berlina. Niemłody, o typowym wyglądzie piwosza, zjawiał się u nas codziennie. Kiedy nasze celowe niedostrzeganie jego wejścia stało się już bardzo wyraźne, uprzedził nas, że dysponuje większymi możliwościami dokuczania nam, niż my jemu. Zażądał, abym począwszy od następnego dnia meldował mu się w chwili wejścia. Było to ciężkie przeżycie. Posterunki sanitariuszy zawczasu sygnalizowały jego zbliżanie się: wychodziłem do kruchty kościelnej, aby ten wstyd przeżywać bez świadków. Po kilku dniach wysłuchiwania meldunku w języku polskim wydał polecenie, abym nauczył się niemieckiej formułki z tym ułatwieniem, że liczbę rannych mogę wymieniać po polsku.

Meldunek brzmiał więc dziwacznie ***„Herr Kommandant, ich melde Abteilung Kirche. Verwundeten stu dwudziestu czterech, trzech Ärzten und jeden Zahnarzt".*** Zadowalało go to całkowicie. Uprzejmie dziękował i przeprowadzał obchód rannych. Minął październik. Docierały do nas wiadomości o strasznym terrorze jakie okupant zdążył już zaprowadzić w Polsce, o obozach i różnych popełnianych zbrodniach. W zestawieniu z tym nasza sytuacja wyglądała jeszcze nie najgorzej. Byliśmy jeńcami bawarskiej dywizji złożonej przeważnie ze starszych wiekiem żołnierzy, odróżniających się od zdziczałej młodzieży hitlerowskiego chowu. Pełny obraz okupacji mieliśmy zobaczyć dopiero później. W początkach listopada zawiadomiono nas, że prowizoryczne szpitale nasze ulegają likwidacji. Rannych wymagających dalszego leczenia przewieziono do stałego szpitala. Wyleczeni mieli podlegać demobilizacji. Nie udała się próba przemycenia wśród nich ppor. Paszkowskiego i jego kolegi, choć stanęli na zbiórce w mundurach szeregowców. Wygląd ich wydał się Niemcom podejrzany skierowano ich do oflagu".

Płk Jan CHOMICZEWSKI Biuletyn WAM, 1970 r.
BIULETYN WOJSKOWEJ IZBY LEKARSKIEJ NR 10-11. 2017)